

ANNE
BISHOP

Filary Świata
TIR ALAINN - TOM 1



The Pillars of the World

Copyright © 2001 by Anne Bishop

All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO INITIUM

Tłumaczenie z języka angielskiego: MARTA WERONIKA NAJMAN

Redakcja i korekta: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: NATALIA MUSIAŁ

Projekt okładki, skład i łamanie: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Fotografia użyta na okładce:

AA1423436 / SHELBY ROBINSON / ARCANGEL

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-84-2



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa: DRUKARNIA WYDAWNICZA im. W. L. ANCZYCA S.A

ANNE
BISHOP

Filary Świata
TIR ALAINN – TOM I

TŁUMACZENIE Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO

MARTA WERONIKA NAJMAN



KRAKÓW 2019

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Blair Boone za to, że była pełną entuzjazmu pierwszą czytelniczką; Mari Anderson za udzielenie głosu *Klejnatom miłości*; Deb Coates, Lindzie Antonnsen, Mindy Klasky, Dorannie Durgin, Vondzie McIntire, Deborah Wheeler, Julie Czernedzie oraz Jennifer Roberson za informacje i spostrzeżenia na temat koni i psów; Nadine Fallacaro za przejrzenie kwestii medycznych; Kandrze za jej wysiłek i czas poświęcony stronie internetowej; Michelle Zymowski, Rickowi Kohlerowi, Cortney Heitzman i Halowi Leaderowi za pomoc przy mapie oraz Pat i Billowi Feidnerom za to, że przy mnie byli.



ROZDZIAŁ 1

Kolejna droga się zamykała. Trochę to potrwa, ale niezbyt długo. Jeszcze przez kilka dni ta droga wiodąca przez Zasloneg oddzielającą Tir Alainn od świata ludzi będzie lśnić, tak jak lśniła, odkąd Fae sięgali pamięcią. Następnie Zaslona zgęstnieje i droga zniknie, a żaden z lordów czy lady Fae, którzy próbowali tą drogą opuścić Tir Alainn, nie wróci już do domu.

Gdy droga zostanie zamknięta, zniknie także ta część Tir Alainn, która do niej przylegała – kolejna część tego, co było najwspanialszym aktem magii Fae, zostanie w tajemniczy sposób pochłonięta.

Nie pytamy o to, co się dzieje z Fae, którzy mieszkali w tych utraconych miejscach, pomyślała Dianna, wpatrując się w ogród rozciągający się za otwartym oknem. Nie pytamy, czy w jakiś sposób udaje się im przetrwać w domach ich klanów, odciętych od pozostałych z nas, albo czy stają się zagubionymi duszami, które nigdy nie dotrą do Krainy Wiecznego Lata, kiedy ciało ponownie powróci do Matki.

Gdy odwróciła się od okna, stanęła twarzą w twarz z mężczyzną i kobietą. Cierpliwie czekali, aż zwróci na nich uwagę. Byli piękni w ten zwierzęcy sposób typowy dla Fae. Kobieta miała ciemnoczerwone włosy i leśne oczy – zielone z brązowymi plamkami. Niektórzy Fae uważają, że taki kolor tęczy wywodzi się z domu Gaian, klanu, który zniknął tak

dawno temu, że uchodzi za zapomnianą legendę. Niezależnie od tego, czy to prawda, czy tylko myślenie życzeniowe, nikt nie był w stanie przypomnieć sobie, dlaczego dom Gaian był wyjątkowy – ani dlaczego zniknął.

Mężczyzna miał czarne włosy i niebieskie oczy, które zwykle wypełniało rozbawienie. Obecnie jednak widziała w nich gromy – a w oczach kobiety smutek.

– Niczego nie znaleźliście. – Nie trudziła się, by sformułować pytanie, ponieważ ich oczy zdradziły już odpowiedź.

– Niczego nie znaleźliśmy – odpowiedziała Lyrra. – Inspira, Cariden i ja przepytaliśmy każdego bazarza i poetę, którego udało się nam odszukać. Żaden nie pamiętał niczego, co pomogłoby nam zrozumieć, dlaczego drogi są zamykane albo jak temu zaradzić. – Zawahała się. – Nie wiem, czy to ma jakiś związek z informacjami, których szukasz, ale pewien stary poeta z innego klanu przypomniał sobie, że usłyszał fragment starożytnego poematu mówiącego o Filarach Świata. Był wtedy jednak dzieckiem, więc nie zdołał przywołać szczegółów.

– Filary Świata – powtórzyła Dianna, zmuszając się do zachowania spokoju. – Wiesz, co to oznacza?

Lyrra potrząsnęła głową.

– Zdawałoby się, że kiedyś tak dobrze wiedzieliśmy, czym są, że nie było potrzeby tego wyjaśniać, nie było potrzeby otaczać ich słowami.

Dianna przełknęła gorycz rozczarowania.

– W takim razie to mało prawdopodobne, by miały coś wspólnego z tym, co teraz się z nami dzieje. – Spojrzała na mężczyznę.

– Niczego nie znalazłem – rzekł Aiden bez emocji. – Bardowie dobrze znają pieśni o podróżowaniu drogami i rozkoszach, które możemy napotkać po drugiej stronie Zasłony, ale nie wiedzą o niczym, co mogłoby nam pomóc.

Słoro Muza i Bard nie byli w stanie niczego znaleźć, kto inny dalby radę? Dianna się zamyśliła. *Gdzie jeszcze możemy szukać odpowiedzi?*

Żadne z nich nie wspomniało o tym, co mogło być wiadome klanom, które korzystały z lśniących dróg prowadzących do Starych Miejsc w ludzkich krajach, zwanych Arktos i Wolfram – klanom, które zniknęły, jeden po drugim, odkąd Dianna była małą dziewczynką.

Obecnie jedyne drogi wiodące przez Zasłonę dochodziły do Sylwalanu – i one też zaczynały się zamykać.

Czy przez tyle lat nikt nie słuchał ostrzeżeń, czy też może nigdy ich nie wysłano? Czy Fae, których terytoria łączyły się ze Starymi Miejskami w tych krajach, z rozmysłem ignorowali zagrożenie, przekonani, że cokolwiek spotkało inny klan, z pewnością nie przydarzy się im – czy też trzymali się kurczowo swoich domów klanowych i terytoriów, ponieważ bali się, że ich również to czeka? A może te klany zawsze trzymały się na uboczu, więc nikt z ich części świata nie poświęcał większej uwagi ich losom?

Teraz zagrożenie nie było już tak odległe, nie dotyczyło tylko innych. Teraz pożerało *ich* klany, a oni nie byli w stanie się dowiedzieć dlaczego – i nie byli w stanie tego powstrzymać.

– Przykro mi, Dianno – powiedziała miękko Lyrra.

– Dziękuję za wasze starania. – Dianna odwróciła się z powrotem do okna.

Szelest tkaniny. Ciche, oddalające się kroki.

Kroki tylko jednej osoby.

Zerkając przez ramię, niemalże widziała gniew pęczniejący w Aidenie.

– Coś jeszcze?

Dołączył do niej przy oknie.

– Zanim przybyłem tutaj, do domu klanu, przeszedłem jedną z dróg. – Jego twarz sprawiała wrażenie pozbawionej wyrazu, ale oczy... – Przemierzyłem kilka wiosek w północno-wschodniej części Sylwalanu.

– I niewątpliwie zatrzymywał się w tawernach, by posłuchać minstrela czy dwóch – odparła, usiłując posłać mu serdeczny uśmiech, który mógłby poprawić jego samopoczucie.

Nie odwzajemnił go.

– Słuchałem ich – odrzekł mrukliwie. – I nie spodobało mu się to, co usłyszał. – Minstrele śpiewają pieśni o istotach, które nazywają wiccanfae.

Dianna zeszywniała na myśl o arogancji jakichkolwiek innych stworzeń określających siebie mianem Fae.

– Czyli o czym?

– O złych wrózkach. Wiedźmach. Stworzeniach, które powodowane złośliwością sprawią, że krowa przestanie dawać mleko, a kobieta straci płodność. Które zakradną się do domu i pożrą duszę noworodka, przez co matka znajdzie dziecko martwe w kołysce, bez żadnych śladów na ciele. Czasami kradną niemowlęta, by poświęcić je swemu panu, Złemu, a on w podzięcie nawiedza je i obdarowuje uciechami cielesnymi. Rzucają uroki miłosne na cnotliwe

młode dziewczęta z dobrych domów, przez co opanowuje je taka żądza, że oddają się spółkowaniu z mężczyznami, nie czekając na połączenie węzłem małżeńskim. To także naczynia czarnej magii. – Aiden zrobił pauzę. – I kontrolują Mały Lud, pozbawione duszy istoty pełne szelmowskiej magii. Istoty, które trzeba wypędzić z tych krain, by uczciwi ludzie mogli się cieszyć szczodrością tej ziemi, nie narażając się na krzywdy. Chcesz usłyszeć więcej?

– Nie. – Dianna czuła na twarzy powiew zimowego wiatru, mimo że już wkrótce wiosna miała przejść w lato. Ale to, czego chciała, a to, czego wymagały obowiązki, to dwie różne sprawy. – Myślisz, że te... wiccanfae... są przyczyną zamykania dróg? Może wykorzystują swoją magię, by trzymać nas z dala od świata ludzi?

– Faktem jest, że lśniące drogi zamykają się w świecie ludzi, jeszcze zanim tracimy fragment Tir Alainn.

Dianna ujrzała jakąś zmianę w oczach Aideny.

– Co się wydarzyło w tych tawernach?

– Tak jak Muza może uciszyć język lub otworzyć drzwi wewnątrz osoby, by pozwolić jej słowom płynąć, tak ja mogę obdarzyć kogoś darem muzyki. Albo ów dar odebrać.

Dianna się zawahała. Choć była Panią Księżyca – tytuł ten czynił ją najbardziej wpływową kobietą wśród Fae – wiedziała, że lepiej nie wzbudzać wrogości Barda. Gdyby go sprowokować, nie wahałby się przed stworzeniem pieśni, która uczyniłaby z kogoś głupca.

– Skoro wiemy, że naszymi wrogami, czemu nie chcesz, by minstrele śpiewali o nich pieśni?

– Nie jestem w stanie powstrzymać tego, co już istnieje, ale mogę sprawić, że nie powstanie ich więcej.

Położyła dłoń na jego ramieniu i poczuła napięte mięśnie.

– Czemu miałyby nie powstawać? – zapytała, zastanawiając się, ile przed nią zataił.

– Nie trzeba pić z kielicha, by wiedzieć, że jest w nim trucizna – odparł ostro Aiden. – Coś jest nie tak z tymi pieśniami. Muzyka, która nie przepłynęła przez serce w drodze do rąk, oferuje niewiele, a wiele może odebrać. – Uśmiechnął się gorzko. – A ci, którzy grają te pieśni, sprzedali swoje serca za sakiewkę złotych monet.

– Minstrele też muszą jeść – powiedziała ostrożnie Dianna.

– Istnieje ciepłe złoto i zimne złoto, a ja wiem, o które chodzi, gdy przebrzmi pierwsza nuta. Ci minstrele grają pieśni pielęgnujące brzydotę w sercach słuchaczy. Wkładają nowe słowa w stare melodie – melodie stworzone przez nas – które niegdyś z łagodnością opowiadały o magii i jej darach. To zbyt wielka obelga, Dianno, ponieważ wymierzona jest przeciwko nam. Decyzja o tym, by odebrać dar muzyki, należy do mnie – i wyłącznie do mnie.

– Czy Lyrra postanowiła odebrać im także dar Muzy?

Jego oczy ściemniały, przybierając niemal czarną barwę.

O tak, pomyślała Dianna. Bard usłyszał znacznie więcej, niż mi zdradził.

– Poprosiłem ją, by odebrała swój dar każdemu minstrelowi, który śpiewał te pieśni – powiedział cicho. – Ale to był jej wybór.

Co oznaczało, że – o ile nie miała ważnego powodu, by się sprzeciwić – Muza uszanowała jego prośbę. Ona i Bard nie byli

kochankami na wyłączność, ale mimo wszystko byli kochankami i często dawali – lub odbierali – swoje dary w tandemie.

– Istnieje jeszcze jeden powód, by uciszać muzykę, która oczernia całą magię obmierzłymi czynami wiedźm. – Aiden skrzyżował ramiona i oparł się o ścianę obok okna. – Podróżujemy przez Zasłonę i korzystamy z naszych darów, by pomagać lub przeszkadzać ludziom.

– Robimy to, gdyż nas to bawi, a nie dlatego że musimy – stwierdziła Dianna niecierpliwie.

– Robimy to, gdyż nas to bawi – zgodził się Aiden – oraz jest... pobudzające.

Dianna wydała z siebie delikatne prychnięcie. Dobrze wiedziała, co pobudzającego mężczyźni Fae znajdowali w świecie ludzi. Jakoś kobiety Fae rzadko potrzebowały tego rodzaju pobudzenia.

Błękitne oczy Aideny roziskrzyły się, jednoznacznie sugerując, że wie, o czym pomyślała. Gdy blask przygasł, znów wyglądał poważnie.

– Nie to miałem na myśli. Życie w Tir Alainn jest jak dryfowanie po ogrzewanej promieniami słońca tafli stawu. Kontakty z ludźmi i ich światem to raczej utrzymywanie się na falach wartkiej rzeki. Pierwsze sprowadza spokój, drugie burzy krew.

– W spokoju nie ma nic złego – nalegała Dianna. *Zwłaszcza gdy w każdej chwili może zostać ci odebrany*, dodała w myślach.

– Powiedz mi coś, Dianno. Kiedy polujesz ze swoimi ogarami cienia podczas Dzikiego Gonu, galopujesz przez idealne góryste tereny Tir Alainn czy przez niedoskonałe wyboje świata ludzi?

Nie chciała odpowiadać, nie chciała przyznać, że w jego słowach tkwi ziarno prawdy – że Fae podróżują do świata ludzi, ponieważ spokój i perfekcja Tir Alainn w pewnym momencie stają się nużące. Dlatego nie powiedziała nic.

Po chwili Aiden podjął:

– Zobaczę, czy uda mi się znaleźć jakieś informacje o Filarach Świata. Może to tylko metafora używana przez Bardów na określanie dróg, ale teraz nie wiemy nawet tego.

Przytaknęła, wyrażając zgodę. Nie zostało nic więcej do dodania.

– Dianno. – Aiden skłonił się lekko.

– Aidenie – odpowiedziała.

Gdy wyszedł, pozostała przy oknie. Jeśli nie uda się im znaleźć przyczyny stojącej za zamykaniem się dróg, może nadejść dzień, kiedy wyjrzy przez okno i ujrzy... co? Co widzieli zaginieni Fae, zanim zniknęły ich fragmenty Tir Alainn?

Wiccanfae.

Jej usta bezdźwięcznie wypowiedziały to słowo.

Jeżeli to one były przyczyną powolnej śmierci jej ukochanego Tir Alainn, wkrótce dowiedzą się, jak to jest mieć wroga w Pani Księżycy, zwanej też Łowczynią.



ROZDZIAŁ 2

Adolfo, Mistrz Inkwizycji, stał obok szerokiego otwartego grobu z rękami opartymi na biodrach. Wiosenny wiatr, zbyt zimny jak na tak późny czas, rozwiewał poły jego długiego brązowego płaszcza, podbitego futrem. Poświęcał wiatrowi równie mało uwagi co stojącemu w pobliżu baronowi Hirstunowi czy pospólstwu, które zebrało się, by obserwować; koncentrował się na mężczyznach ściągniętych z wozu związaną, opierającą się kobietę.

– Ostrożnie – powiedział cichym, srogim głosem, którego kraje Arktos i Wolfram od dawna się obawiały. – Nie pozwólcie, by jej grzeszność skłoniła was do niehonorowych zachowań. Czas, który jej pozostał, powinna spędzić na przemyśleniach, pokutując za krzywdę, jaką wyrządziła dobrym ludziom z Kylwode, nie zaś na wspomnianiu brutalnego traktowania, jakiego się dopuścicie.

Mężczyźni trzymający kobietę zawahali się, a potem porzucili głowy. Wyrwała się z ich uścisku, przez co nie byli w stanie prowadzić jej do przodu, nie ciągnąc jej.

Adolfo utkwił w kobiecie spojrzenie brązowych oczu.

– Nie utrudniaj. Pogódź się z losem, jaki sprowadziły na ciebie twoje działania. – Zawiesił głos, a po chwili delikatnie dodał: – Chyba że masz coś do wyznania?

Kobieta zeszywniała, a jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Chwilę później osunęła się w ręce tych, którzy ją pojmali.

Poprowadzili ją do otwartego grobu, stawiając drobne kroki, gdy kuśtykała między nimi. Kiedy obrócili ją twarzą do barona Hirstuna i Adolfo, jej oczy wypełniała pogarda wobec ludzi, którzy ją skazali. Wprostowała się – ostatni gest oporu, sprawiający, że wyglądała jak osoba szlachetnie urodzona, a nie przestraszona, przemoczona kobieta, mająca za chwilę umrzeć.

Adolfo poczuł strach pełnący wzdłuż kręgosłupa, poczuł, jak zderza się on z nienawiścią, która kształtowała jego życie, aż wreszcie zmienia się w tępy ból w dole pleców. Wojna, którą toczył w swoim wnętrzu, nie odbijała się na jego twarzy ani w oczach – te jak zawsze pozostały niewinne, delikatne jak u sarny.

Ale inni mężczyźni poruszyli się niepewnie, widząc wzbierającą w niej moc.

Wzrasta po raz ostatni, zapewnił samego siebie. I nie pomoże jej teraz. Zadbalem o to.

– Masz jakieś ostatnie słowa? – zwrócił się do kobiety.

Nie odpowiedziała.

Jeden z trzymających ją mężczyzn zerknął na metalowy mechanizm wokół jej głowy.

– Proszę o wybaczenie, Mistrzu Adolfo, ale nie wydaje mi się, żeby mogła wiele powiedzieć z tym czymś na głowie.

– Przejdź do rzeczy – mruknął Hirstun.

Adolfo zignorował barona i zwrócił się do mężczyzny:

– Rozpoznałbym jej słowa, choćby nie wiem jak wypaczony. Tymczasem metalowy język w wędzidle sekutnicy nie pozwala jej mówić wyraźnie, a więc i rzucić ostatniego zaklęcia, mogącego skrzywdzić tych, którzy wymierzają jej sprawiedliwość.

Jeden strażnik wyszczerzył się do drugiego.

– Sax, powinieneś nabyć coś takiego dla swojej Jenny. Miałbyś trochę spokoju.

Sax pochylił głowę.

– Jej język faktycznie czasem mi się naprzykrza, nie przeczę, ale nie wyobrażam sobie włożyć czegoś takiego na moją Jenny.

– Wędzidło sekutnicy to narzędzie dobrego mężczyzny – powiedział Adolfo. – Troskliwy mąż i ojciec nie pozwala swoim niewiastom zbłądzić i oddać się nieprzystojnym zachowaniom, nie godzi się również na klótnie pod swoim dachem. Powszechnie wiadomo, że ostre słowa kobiety mogą splugawić różgę mężczyzny i osłabić jego nasienie, przez co będzie ją wypełniać wyłącznie córkami miast silnymi synami.

Twarcz Saxa przybrała barwę jaskrawej czerwieni. Gapił się w ziemię.

– Wydaje się to okrutną karą dla kobiety.

Adolfo uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Metal używany jest jedynie w przypadku wiedz. W przypadku innych kobiet wędzi dło sekutnicy wykonane jest ze skóry, a mężczyzna zakłada je z równą troską, co ogłowie swojej ulubionej kłaczy. Nie czyni ono krzywdy. Wstyd wynikający z noszenia go jest wystarczający, by nauczyć skromności i właściwego zachowania. Nawet moja ukochana żona musi od

czasu do czasu ponosić wędzidło. Początkowo nienawidziła go i wzbraniała się przed dyscypliną. Teraz jest wdzięczna za tę oznakę mojego głębokiego uczucia i troskę o jej dobro. – Odczekał chwilę, po czym dodał: – Ale może tobie nie zależy aż tak na twojej Jenny.

Po dłuższej pauzie Sax wymamrotał:

– Gdzie mógłbym dostać takie wędzidło?

– Mam kilka kopii wzornika – odparł Adolfo. – Dopilnuję, byś dostał jedną, kiedy już wykonamy nasze zadanie. – Patrzył na Saxa, ale obserwował też wiedźmę. Widział, że nie zdołała utrzymać dumnej postawy i ponownie poddała się rezygnacji, niczym głupie zwierzę złapane w pułapkę.

– Zwiąż jej nogi. Zostaw jednak dość skóry na kolce.

Sax zdjął swój pas i przyklęknął. Kiedy sięgnął pod jej sukienkę, Adolfo warknął:

– Obwiąż ją nad sukienką. Nie chcemy, by któryś z dobrych mężczyzn obserwujących zajście stał się ofiarą żądzy, gdy ona zacznie prezentować swoje wdzięki. Kobiety to słabe naczynia, Złemu łatwo je skazić. Ale nawet silny mężczyzna może zostać sprowokowany do lubieżnych czynów przez kobietę, która jest służką Złego.

Sax szybko się uporał z krępowaniem. Odsunął się i wytarł dłonie o szorstki materiał spodni, na wypadek gdyby tak niewielki kontakt z kobietą mógł mu zagrażać.

Adolfo uczynił delikatny gest nad grobem.

– Włóżcie ją tam. Niech któryś z was przyniesie też skrzynię z wozu.

Kiedy Sax i jego przyjaciel wkładali wiedźmę do grobu, ta znów zaczęła walczyć. Z niechęcią sami weszli do dołu, by ułożyć ją na plecach.

– Wbijcie kolce w ziemię i przywiążcie do nich skórę, by unieruchomić jej nogi – poinstruował ich Adolfo. Potem zwrócił się do mężczyzny, który zdjął z wozu skrzynię wykonaną zgodnie z jego instrukcjami: – Umieść skrzynię na jej głowie i barkach. Przymocuj też kolce do pasków.

Kiedy Sax i jego przyjaciel skończyli, trzeci mężczyzna pomógł im wydostać się z grobu.

– Zasypcie dół – powiedział Adolfo. – Zaczynjcie przy stopach i posuwajcie się w kierunku głowy.

Wraz z baronem obserwował w milczeniu, jak mężczyźni przesypują łopatami ziemię, wypełniając grób. Kiedy pierwsza porcja ziemi trafiła wreszcie w drewnianą skrzynię, usłyszeli krzyk kobiety.

– Nigdy bym nie pomyślał, że Mistrz Inkwizycji kieruje się współczuciem – powiedział cicho Hirstun. – Co to za różnica, czy suka dostanie ziemię po oczach?

– Ależ kieruję się współczuciem – odparł Adolfo również cicho. – Gdyby tak nie było, nie podjąłbym się misji uwolnienia dobrych ludzi od tych nikczemnych stworzeń. Skrzynia zatrzyma powietrze na pewien czas po tym, jak grób będzie już zasypany. To da jej chwilę, by mogła odpokutować za grzechy.

Hirstun przyjrzał mu się z uwagą.

– A skąd ktokolwiek będzie wiedział, czy odpokutowała?

Adolfo uśmiechnął się smutno.

– Prawdziwa pokuta przychodzi na chwilę przed śmiercią. Gdyby ją wówczas oszczędzić, przysięgałaby, że odpokutowa-

ła, ale to byłoby kłamstwo. Śmierć to jedyna wolność dla tych stworzeń, baronie, ale nawet ona nie będzie wolnością, jeśli ich działania w tym świecie skazą je na otchłań piekielną, czekającą na wszystkich sługusów Złego.

Milczeli, dopóki ostatnia łopata ziemi nie wypełniła dołu.

– Gotowe – powiedział Hirstun, obserwując, jak jego słudzy rozdają miedziaki mężczyznom, którzy pomagali. – Wracasz ze mną do posiadłości, by... ustalić wszystko?

– Wkrótce do ciebie dołączę – odparł Adolfo. – Chcę jeszcze zostać na straży przez minutę.

– Jesteś bardzo pilny, gdy chodzi o obowiązki.

Hirstun odszedł, a za nim podążyli jego sługa i pospólstwo.

– Zaiste jestem – powiedział Adolfo, gdy już nikt nie mógł go usłyszeć. – Nie zniósłbym tego, gdyby jakaś wiedźma przeżyła.



Leżała w ciemnościach, czując przygniatający ją ciężar. Nie zostało jej wiele powietrza – ani wiele czasu.

Próbowała przyzwać swą moc, poruszyć ziemią, by jakoś uciec. Ale to woda, a nie ziemia, była gałęzią Matki, z której czerpała swoje siły. Jej wysiłki na nic się zdały.

Czemu wszystko się zmieniło? *Czemu?* Od pokoleń kobiety w jej rodzinie i reszta mieszkańców Kylwode żyli i pracowali w pokoju. Ilu wieśniaków i osadników z ziem barona doświadczyło pomocy dzięki prostym sztuczkom jej babki, przez co nie musieli płacić lekarzowi, zainteresowanemu jedynie szlacheckimi i kupieckimi rodzinami z okolicy? Ilu *ona sama* pomogła, pokazując, gdzie wykopać studnie? Więc to tak odwdzięczyli się jej za całą pomoc, jaką otrzymali?

Próbowała oddychać powoli, by tlenu wystarczyło na dłużej. Wiedziała, że nadzieja jest daremna, ale mimo to wciąż liczyła na to, że niektórzy z mężczyzn – ktokolwiek spośród tych, którym jej rodzina pomagała przez lata – sprzeciwią się baronowi Hirstunowi i wrócą, by ją uwolnić.

Dlaczego w Kylwode zaczęły narastać konflikty? Czy dlatego że ludzie spoglądali na mizerne plony, które z trudem płodziła ich wyjałowiona ziemia, a potem przenosili zazdrośne spojrzenie na bogate łąki i lasy – i mieszkającą tam zwierzynę – które należały do kobiet z jej rodziny od chwili, gdy pierwsza czarownica wytyczyła granicę i oznaczyła Stare Miejsce znajdujące się pod jej pieczęcią?

Od jak wielu lat powtarzały ludziom, wciąż i wciąż od nowa, że Matka jest szczodra, ale każdy musi zarówno dawać, jak i brać? Ludzie z Kylwode po prostu nie chcieli słuchać. Matka dawała – i dawała, i dawała. A ostatnio odpowiedzią na wszelkie sugestie, by oddać coś ziemi, były okrzyki „gadanie wiźmy!”, za którymi szły nieprzyjazne, podejrzliwe spojrzenia – oraz sugestie, że owo oddawanie to jakiś krwawy rytuał. A także że plony z jej własnego ogrodu były zapłatą od Złego w zamian za świadczone mu przyjemności cielesne.

Nie słyszała o żadnym Złym, póki Mistrz Adolfo nie zatrzymał się u barona Hirstuna. Ale wiedziała z absolutną pewnością, że istnieją takie stworzenia; że Zły faktycznie chodzi po ziemi.

Był nim Mistrz Inkwizycji Adolfo, Młot na czarownice.

Był istnym tchnieniem Złego, a cicho wypowiedane słowa i delikatny smutek w oczach stanowiły jedynie maskę skrywającą gnijącego ducha.

O tak, traktuj wiedźmę delikatnie, aby mogła odpokutować. Nie spoglądaj na jej łądzwie, żeby nie skusiła cię żądza.

Drań o gnijącej duszy nie chciał po prostu, by ci mężczyźni ujrzeli obrzęki, cięcia i oparzenia, które jej zadał, by „pomóc” jej przyznać się do winy. Kajdany na nogach były sprytnym wytłumaczeniem faktu, że nie była w stanie iść, nie kuśtykając. A on ani trochę nie próbował powstrzymać swojej chuci. Jego różga była takim samym narzędziem tortur jak narzany pogrzebacz czy zgniatacze kciuków.

Trzykrotnie prowadził ją do biureczka w ciepłym pokoju w piwnicy barona Hirstuna, którą zmienił w komnatę tortur Inkwizytora. Trzykrotnie nalegał, by przyznała się do zbrodni przeciwko dobrym ludziom z Kylwode.

Dwukrotnie odmówiła podpisania zeznania, które przygotował, a za pierwszym razem zażądała nawet informacji, kto oskarża ją o wyrządzone krzywdy. Nie zrobiła niczego, co znalazło się na liście jej zbrodni. Szkodzenie innym było wbrew zasadom, zgodnie z którymi żyła ona i jej rodzina.

Dwukrotnie odmówiła. Ale za trzecim razem pokazał jej inne wędzidło, którego byłby zmuszony użyć, gdyby wciąż przeciwstawiała się odpokutowaniu. Wędzidło to miało tak zwane żądła wiedźmy – kolce, które wbijałyby się w jej policzki i język. Pokazał jej też inne rzeczy, które miały przekonać ją do „dobrowolnego” przyznania się do winy.

Kiedy wreszcie podpisała zeznanie, powiedział, że jest jej wdzięczny, gdyż uwolniła go od konieczności kontynuowania tak uciążliwego zadania. Podpisując dokument, sama skazała się na śmierć – on nie musiał już tego robić.

Drań!

Łzy wypełniły jej oczy.

Tak trudno oddychać. Tak bardzo trudno.

Cieszyła się, że jej matka i babka były nieobecne, gdy przybyli ludzie barona – i Mistrza Adolfo; udały się akurat do sąsiedniej wioski, by pomóc przy porodzie. Miała nadzieję, że Mały Lud ostrzegł je, gdy wracały do domu, i dzięki temu udało się im uciec.

Nie zostało jej wiele czasu. Jej ciało domagało się powietrza.

Woda była jej siłą i miłością. Ale oni złożyli ją pośrodku suchego pola po drugiej stronie wioski, za daleko od Starego Miejsca, które było jej domem i mogłoby stanowić jakąkolwiek pociechę. Gdyby tylko była w stanie po raz ostatni poczuć strumień wody na dłoni, może zaakceptowałyby...

Ledwo zdołała usłyszeć własny szloch.

Za polem, za szpalerem drzew, strumień wydawał się wahać. Jego koryto było pełne wyrw. Coraz większych. Woda wciskała się w te szczeliny, drążyła sobie drogę między korzeniami drzew, aż dotarła do nowego kanału, który parł do przodu pod ziemią.

Jej dłoń była mokra. Nie wilgotna od ziemi, ale mokra.

Woda znalazła szczeliny w skrzyni – i strumień zaczął do niej śpiewać, tak jak czynił to po wielokroć.

Zamknęła oczy i zaczęła dryfować wraz z piosenką.

Woda ją otuliła. Nie czuła już swojego ciała, nie czuła bólu. Czuła jedynie wodę, której poziom coraz bardziej się podnosił – i zabierał ją ze sobą.



– Czy to wystarczy? – zapytał Hirstun, wczytując się w zeznanie.

– Wystarczyłoby w zupełności w Arktosie i Wolframie – odparł Adolfo. – Sylvalan ma podobne prawo: każda osoba skazana za haniebne zbrodnie przeciwko lokalnej społeczności traci cały majątek, który najwyższy rangą szlachcic z tejże społeczności rozdysponowuje wedle uznania.

Hirstun dobrze znał to prawo; przynajmniej trzech z jego obecnych dzierżawców było niegdyś posiadaczami ziemskimi, zanim jeden z przodków Hirstuna wykrył „zbrodnie” ich rodzin, które pozwoliły mu skonfiskować te majątki i dołączyć do swoich.

– Istnieje tylko jedna kopia – powiedział Hirstun.

– W moim posiadaniu jest jeszcze jedna – odparł Adolfo. *I ta* kopia zawierała dodatkowo jeszcze jedno wyznanie, o którym wspomniałby jedynie wtedy, gdyby Hirstun sprawiał problemy.

– Spodziewam się, że wkrótce wyjedziesz.

Ten ton, równocześnie odprawiający go i rozkazujący, doprowadzał Adolfo do furii, ale jego głos pozostawał łagodny, gdy mówił:

– O ile w Kylwode nie ma innych osób podejrzanych o czarnoksiężstwo. – Wypowiedział to zdanie tonem niemalże pytającym.

– Te trzy były jedynymi wiedźmami w Kylwode – rzekł zimno Hirstun.

To nie to samo, pomyślał Adolfo. *Zupełnie nie to samo*. To był największy błąd, jaki popełniła szlachta w Arktosie i Wolframie, gdy zetknęła się z nim po raz pierwszy. Gdy wypełnił swoje obowiązki i dał im to, czego chcieli, zaczęli traktować go jak sługę. Ale potem przekonali się, tak jak przekona się

szlachta w Sylwalanie, z jaką mocą Młot na czarownice może uderzyć w dowolną wioskę, jak dalece może się rozprzestrzenić gorączka oskarżeń, jeśli odpowiednio ją podżegać, tak że nawet szlacheckie rodziny nie są przed nią chronione.

Hirstun otworzył szufladę w biurku, wyjął mieszczącą się w dłoni sakiewkę pełną złotych monet i położył ją na blacie.

– Gdy po raz pierwszy rozmawialiśmy o kłopotach w Kylwode, zgodziłeś się zapłacić dwa mieszki złota za moje usługi – powiedział cicho Adolfo.

– Ale ostatecznie musiałeś sobie poradzić tylko z jedną z nich, a nie ze wszystkimi trzema – odparł ostro Hirstun. – Pozostałe dwie tu nie wrócą. Połowa ustalonej sumy za jedną trzecią pracy wydaje się więcej niż uczciwą zapłatą.

Czyli tak to miało wyglądać.

Adolfo rozparł się na krześle i odwrócił głowę na tyle, by wyjrzeć przez okno na dzieci barona, które zebrały się na trawniku wraz z przyjaciółmi.

– Zły jest zwodniczym przeciwnikiem – powiedział. – Czasami ktoś wpada w jego sidła, nie zdając sobie z tego sprawy, póki nie przekona się go do otworzenia duszy i przyznania się. Czasami ktoś zostaje sługą Złego poprzez cielesne zbliżenie. Ból to jedyna droga duchowego oczyszczenia dla tego, kto dał się skusić żądzy wiedzy.

Hirstun też wyjrzał przez okno. Dłuższą chwilę patrzył na najstarszego syna, po czym odwrócił się z powrotem do Adolfo.

– Oskarżasz mojego syna o cielesne obcowanie z wiedźmą?

– A mówiliśmy o twoim synu? – odparł Adolfo łagodnie.

Nagła bladość Hirstuna była wystarczającym potwierdzeniem podobieństwa między jego córką a czarownicą, którą właśnie skazali.

Długa, pełna napięcia cisza zawisła między nimi.

Adolfo czekał cierpliwie, jak robił to wiele razy wcześniej. Był łysiejącym mężczyzną w średnim wieku, o pociągłej twarzy uczonego i silnym ciele prostego robotnika. Jego odzież, choć w nijakim kolorze i o prostym kroju jak u chłopca, została wykonana z najwyższej jakości wełny i lnu. W jego głosie pobrzmiwała zarówno modulacja typowa dla wykształconych szlachciców, jak i chropawość człowieka, którego wychowała ulica. Ludzie tacy jak baron nigdy nie byli pewni, czy był młodszym synem w prominentnej rodzinie, którą dopadły cięższe czasy, czy dzieckiem ulicy, które poświęciło lata, ucząc się naśladować lepiej urodzonych, żeby udawać jednego z nich. Choć brak szacunku doprowadzał go do pasji, doceniał korzyści płynące ze zwodzenia szlachty, której wydawało się, że ma do czynienia z kundlem, by nagle się zorientować, że wilk rzuca im się do gardła.

Wreszcie, niechętnie, Hirstun wyjął drugi worek złota.

– Dziękuję, baronie Hirstunie – powiedział Adolfo. – Robię co muszę, ponieważ takie zlecono mi zadanie, ale wiąże się ono też z pewnymi kosztami.

– Wydajesz się wieść dostatnie życie jako Młot na czarownicy. – Hirstun zezował na niewielkie klejnoty całkowicie pokrywające duży medalion, który Adolfo nosił na brązowej wełnianej tunice.

Adolfo potarł palcami medalion.

– Poświęciłem tej pracy ostatnie trzydzieści lat życia. Każdy z tych kamieni reprezentuje wioskę w mojej ojczyźnie, którą oczyściłem z czarownic – i wszelkich innych śladów czarnoksiężstwa.

– Rozumiemy się wystarczająco dobrze – powiedział ostro Hirstun. – Wierzę, że ten stan rzeczy się utrzyma.

– Ja również mam taką nadzieję – rzekł Adolfo, zabierając sakiewki ze złotem. – Proszę o wybaczenie, baronie, ale muszę wysłać wiadomość do moich współbraci inkwizytorów.

– Dlaczego?

Adolfo uśmiechnął się lekko.

– Praca, którą wykonujemy, pełna jest niebezpieczeństw. Mamy w zwyczaju informować się nawzajem, gdzie jesteśmy oraz dokąd się wybieramy. Dzięki temu, jeśli któremuś z nas coś się stanie, pozostali będą wiedzieli, gdzie rozpocząć poszukiwania Złego.

– Rozumiem – mruknął cierpko Hirstun.

Zaczynasz rozumieć, pomyślał Adolfo, kłaniając się i opuszczając pokój. *Na razie tyle wystarczy.*



W szarym świetle przed wschodem słońca Morag pozwoliła swemu karemu koniowi wybrać drogę przez przesiąknięte pole, kierując się w stronę młodej kobiety siedzącej na niewielkim kopczyku ziemi. Ujrzawszy strach i napięcie na jej twarzy, zebrała wodze kilka metrów od niej i pozwoliła, by delikatna cisza stworzyła pomost między nimi.

– Widzisz mnie – powiedziała kobieta.

Usta Morag wygięły się w delikatnym uśmiechu.

– Jestem Zbieraczką. Widzę wszystkie duchy.

Strach i napięcie opuściły kobietę, zastąpiło je coś na kształt nadziei.

– Przybyłaś, by zabrać mnie do Krainy Wiecznego Lata?

Przez chwilę nie odpowiadała, niepewna, co sądzić o człowieku, który wspomina o Krainie Wiecznego Lata. To była jej pierwsza dłuższa podróż do świata ludzi, odkąd mniej niż rok temu została Zbieraczką – a zarazem jej pierwsza podróż w ogóle do północno-wschodniej części Sylwalanu. Do niedawna żadna z osób, którą zebrała, nie pytała o Krainę Wiecznego Lata.

– Mogę cię poprowadzić do Cienistej Zaslony. Znajdujące się za nią miejsce zwano wieloma mianami. Może jest to wiele miejsc. Twój duch zna swój dom. Jeżeli jest nim właśnie Kraina Wiecznego Lata, odnajdziesz go.

Gdy wyciągnęła rękę, poła rękawa jej czarnej szaty rozpostarła się niczym skrzydło kruka.

– Chodź.

Kobieta uniosła się nad ziemię i usiadła za Zbieraczką. Gdy poczuła się pewniej, zapytała łagodnie:

– Myślisz, że pewnego dnia zobaczę w Krainie Wiecznego Lata moją matkę i babkę?

Gdy Morag zawracała karego konia, by wrócić tam, skąd przyjechała, pomyślała o dwóch kobietach, których ciała zostawiono nieopodal drogi prowadzącej do tej wioski; o dwóch kobietach, których duchy zebrała i zaprowadziła do Cienistej Zaslony. Kiedy kopiec i pole zniknęły z zasięgu ich wzroku, odpowiedziała:

– Spotkasz je tam.



ROZDZIAŁ 3

Ari próbowała nie wzdychać głośno, stawiając ciężki kosz na podłodze sklepu Babci Gwynn. Szczerze liczyła na to, że Odella i pozostałe młode szlachcianki z Ridgeley szybko załatwią swoje interesy.

Dostrzegłszy ruch, Odella rzuciła Ari ostre spojrzenie, a następnie na powrót zwróciła się w stronę drobnej, pomarszczonej kobiety stojącej za drewnianym kontuarem na końcu sklepu.

– Masz to, Babciu?

Babcia Gwynn fuknęła:

– Niegodziwa dziewczyno! Ranisz moje serce, sugerując, że mogłabym zapomnieć o specjalach dla moich pięknych panienek. Oczywiście, że je mam. Poczekajcie tutaj.

Zniknęła za ciężką kotarą oddzielającą składzik od frontu sklepu. Odella i pozostałe dziewczęta zaczęły szeptać i chichotać.

Próbując udawać, że ignoruje je, tak jak one ignorowały ją, Ari czekała. Powinna była wsłuchać się w to dziwne przeczucie dziś rano i zostać w domu. Mogła pracować w ogrodzie albo dokończyć sprzątanie chaty. Mogła wziąć szkicownik i kolorową kredę do lasu i poświęcić dzień na tworzenie szybkich szkiców, które potem zmieniała w tkane gobeliny, co pozwalało jej zarobić na życie. Ale samotność wkradła się w jej sny ubiegłej nocy, przez co zapragnęła towarzystwa. Jakiegokolwiek. Zwi-

nęła więc gobeliny, które zamówiła pani Brigston, a do tego spakowała buteleczki ziołowych naparów, które planowała sprzedać w sklepie Babci. Zapakowała kosze na niewielki ręczny wózek i odbyła trzymilowy spacer do wioski.

Babcia Gwynn pojawiła się ponownie, niosąc w rękach niewielkie pakunki owinięte brązowym papierem.

– Bardzo proszę, piękne panie. Specjały zagwarantuję wam dobrą zabawę podczas Letniego Księżyca.

Odella i pozostałe dziewczyny pochyliły się nad ladą, podczas gdy Babcia Gwynn odwijiała jedną z paczuszek. Niektóre wstrzymały oddech, a potem zachichotały, zasłaniając usta dłońmi.

– Teraz schowajcie je w bezpiecznym miejscu do czasu, aż będą wam potrzebne – powiedziała Babcia Gwynn, podając pakunek każdej z dziewcząt. Zmrużyła oczy. – Gdzie jest ostatnia dziewczyna?

Odella niecierpliwie machnęła dłonią.

– To nie ma znaczenia. Co robimy z tymi specjami? Jak to działa?

– To ma znaczenie, panno Odello – odparła posępnie Babcia Gwynn. – Złożono siedem zamówień. Przygotowałam siedem pakunków. Siedem musicie odebrać.

– W takim razie ja wezmę też ten dodatkowy.

Babcia Gwynn potrząsnęła głową.

– Trudno stwierdzić, co się wydarzy, jeśli jeden pakunek tu zostanie albo jeśli jedna osoba weźmie dwa.

Odella lekko pobladła. Rozejrzała się po sklepie. W jej oczach pojawiły się drapieżne iskierki.

– To oddaj go Ari. – Skinęła dłonią na dziewczynę. – Podejdz tu, Ari. To tylko trochę zabawy, by uczcić pierwszy księżyc lata.

Ari przyjrzała się dziewczynom, które teraz wpatrywały się w nią z niesłabnącym zainteresowaniem. Wewnętrzny głos napomniiał: *Uważaj. Uważaj! Nie życzą ci dobrze.* Samotność owinęła się ciasno wokół jej serca, szepcząc: *To twoja szansa, by należeć do grupy, choćby tylko przez chwilę.*

Podeszła do kontuaru.

– Wyciągnij lewą rękę – nakazała Babcia Gwynn.

Kiedy Ari się zawahała, Babcia chwyciła jej dłoń i wcisnęła w nią zawartość paczuszki.

Ari syknęła, gdy niewielka iskra magii przebiegła przez jej lewe ramię prosto do serca. Chwilę później uczucie zniknęło. Spojrzała na specjały i zalała ją fala niepokoju.

Dwie figurki z brązowego cukru. Jedna w kształcie kobiety. Druga – w kształcie fallusa.

– Owiń je teraz z powrotem – powiedziała Babcia Gwynn, uśmiechając się przebiegle, gdy podawała Ari brązowy papier.

Ari pospiesznie owinęła figurki. Najchętniej zostawiłaby je na ladzie, gdyby nie to, że Babcia obserwowała ją z uwagą, pilnując, by wsunęła paczuszkę do kieszeni spódnicy.

Babcia skrzyżowała ręce nad obwisłym brzuchem.

– Pełnia księżycza za dwa dni. Musicie wyjść na zewnątrz tej nocy. Rozważnie wybierzcie ścieżkę, ponieważ musicie ofiarować swoją kobiecą figurkę pierwszemu samcowi, którego ujrzyecie tej nocy, a który nie jest waszym bliskim krewnym, i powiedzieć: „Poprzez ten specjał podarowuję ci afekt mego ciała, od pełni do nowiu księżycza. Przysięgam w obliczu Pana

Słońca i Pani Księżycza. Niechaj poskąpią mi po wieki swego światła, jeśli nie dotrzymam tego przyrzeczenia”.

Ari zadrżała. To nie brzmiało jak letnia rozrywka. Nie gdy musi przysięgać w imię tych dwojga.

– Jeżeli samiec przyjmie specjal – kontynuowała Babcia Gwynn – wybór się dokonał. Musicie zjeść męską figurkę w jego obecności, by dopełnić magii, i musicie dać mu tyle afektu, ile sobie zażyczy, aż do nowiu księżycza. – Znów uśmiechnęła się przebiegle. – Nie powinnyście mieć z tym problemu.

– A jeśli nie chcemy pierwszego samca, którego zobaczymy? – spytała Bonnie, pulchna blondynka.

Babcia spojrzała na nią z niechęcią.

– Składasz ofertę *pieruszemu*. Jeżeli odmówi, wolno ci poszukać kolejnego. Jeżeli się zgodzi... magia jest wiążąca, panienko. Przeciwwstawiając się jej, zaprzeczając jej, odrzucając ją – robisz to na własną zgubę. Jeśli nie użyjesz specjalów, by przyciągnąć światłość afektu, przyciągniesz do siebie mroczne uczucia.

Dziewczyny poruszyły się nerwowo. Nawet Odella wyglądała na zmartwioną.

Ari poczuła, że jej niedobrze.

Babcia poklepała dłoń Odelli.

– Przez następne dwa dni przed zaśnięciem spędźcie kilka minut, rozmyślając w ciszy, i zastanówcie się, czego oczekujecie od swojego kochanka. Nie próbujcie sobie wyobrazić konkretnego mężczyzny – ostrzegła, unosząc palec. – Jedyne pożądane cechy u samca, który będzie waszym kochankiem od pełni do nowiu księżycza – a może o wiele dłużej, jeśli jesteście sprytne.

– Ale... – Odella zaczęła protestować.

– Mężczyźni z Ridgeley nie są jedynymi, którzy przemierzają drogi w noc Letniego Księżycza – przerwała jej Babcia, uśmiechając się złowieszczo.

– Och... – Odella zadrżała. Następnie posłała Ari złośliwy uśmieszek. – Jestem pewna, że Royce, mój brat, będzie miał coś do załatwienia tego wieczora.

Gardło Ari zacisnęło się tak mocno, że przelękanie sprawiło jej ból.

– A teraz już idźcie. – Babcia Gwynn wygoniła dziewczęta za drzwi, po czym skinęła na Ari. – Ty chodź za mną.

Ari podniosła kosze pełne naparów i ruszyła za Babcią Gwynn za kotarę.

Gdy tylko ustawiła kosze na stole pośrodku pomieszczenia, Babcia Gwynn kazała jej się odsunąć i zaczęła je rozpakowywać.

– Świetnie. Świetnie. Wczoraj sprzedałam ostatnią butelkę. – Komentowała i mamrotała, czytając każdą schludną etykietę. Wreszcie odsunęła się, skrzyżowała ręce na brzuchu i zmrużyła oczy, spoglądając na Ari. – Dam ci półtora miedziaka za każdą butelkę.

Ari wpatrywała się w Babcie przez dłuższą chwilę, zanim udało się jej wydobyć z siebie głos:

– Umawialiśmy się na trzy miedziaki za butelkę.

– To było zanim giermek Kenton kupił napar dla swojej słabującej żony. Może dodałaś jakąś kłutwę, warząc napar? Pani Kenton potwornie się rozchorowała po zaledwie kilku łyżeczkach. Była na tyle chora, że trzeba było zawezwać lekarza. I jak myślisz, na kogo się wściekł giermek i komu groził po-

stawieniem przed obliczem sędziego, o ile wizyta lekarza nie zostanie opłacona?

– W naparze nie było nic, od czego można by zachorować, o ile został odpowiednio podany – broniła się Ari. *Pomijając to, co mogłaś do niego dodać, by twierdzić, że sama go uwarzyłaś*, dodała w myślach. *O ile pani Kenton w ogóle zachorowała.*

Babcia Gwynn poczerwieniała, jakby usłyszała myśli dziewczyny.

– Półtora miedziaka – powtórzyła. – Więcej nie dostaniesz.

Zimny spokój ogarnął Ari, gdy szybko przepakowywała kosze.

– Więc sprzedam je gdzieś indziej.

– Gdzieś indziej? – Babcia podniosła głos. – I jak sądzisz, kto je kupi? Nikt w Ridgeley nie tknie naparu, jeśli będzie musiał przyznać, że pochodził on od *ciebie*.

– Więc sprzedam je w Wellingsfordzie lub w Seahaven.

– Podróż do każdego z tych miejsc to cały dzień drogi powozem tam i z powrotem, a do tego dochodzi czas na handel po domach. Zostawiłabyś swoją chatę bez opieki na tak długo?

Złośliwa nuta w głosie Babci sprawiła, że Ari podniosła głowę.

Zeszłej wiosny uzgodniła z Ahernem, burkliwym starszkiem, który był jej najbliższym sąsiadem, że jeden z parobków pracujących w jego stajni będzie doglądał jej krowy i kurczaków, gdy ona pojedzie do Seahaven, by sprzedać kilka gobelinów. Kupiec, któremu zaprezentowała gobeliny, był pod takim wrażeniem jakości jej prac, że wykupił wszystkie – a do tego obiecał przejrzeć pozostałe jej towary, jeśli przywiezie mu je następnym razem. Uradowana i z głową pełną planów, by sprzedać mu wyroby za dobrą cenę, jakiej nigdy nie otrzyma-

łaby od szlachty w Ridgeley, tanecznym krokiem przemierzała drogę po nocy spędzonej na wozie jadącym wzdłuż wybrzeża od Seahaven do Wellingsford, z którego wysiadła na skrzyżowaniu z drogą do Ridgeley – i do Brightwood, jej domu.

I wtedy, w świetle poranka, zobaczyła, jakie powitanie jej zgotowano.

Jej zwierzęta zostały wyrżnięte, poszatowane na kawałki. Głowę krowy i dwa kurczaki wrzucono do przydomowej studni. Część wnętrza rozchlapano na tylnej ścianie jej chaty.

Człowiek Aherna przybył na miejsce wkrótce po niej, rzucił jedno spojrzenie na pobojowisko i pobiegł z powrotem, by powiadomić swojego pana. Po chwili przybył Ahern ze wszystkimi ludźmi. Starzec towarzyszył jej, gdy wchodziła do chaty. Ale zakłęcia ochronne nie pozwoliły intruzom wtargnąć do środka.

Mężczyźni wyczyścili studnię, usunęli truchła zwierząt, a nawet wymyli tylną ścianę domu. Mimo to przez kilka kolejnych tygodni chodziła co rano do najbliższego strumienia, by przynieść stamtąd wodę pitną.

Później tego roku, kiedy Ahern zapytał ją, czy uda się ponownie do Seahaven, by sprzedać gobeliny, odmówiła. Zrozumiała ostrzeżenie. Ludzie w Ridgeley tolerowali fakt, że mieszka poza wioską, na skrawku ziemi, który łaskawie dla niej przeznaczili, ale nie pozwolą jej na zerwanie się ze smyczy, o ile nie zrzeknie się Brightwood, ziemi, która była w posiadaniu jej rodziny, odkąd pierwsza wiedźma przekroczyła granicę.

Nie mogła porzucić ziemi. To było jej dziedzictwo. Oraz jej brzemię.

– W porządku – powiedziała Babcia Gwynn, wrywając Ari z zamyślenia. – W porządku. Dwa miedziaki. Więcej i tak nie dostaniesz.

Ari wystawiła dłoń. Twarz Babci pociemniała. Mamrocząc coś pod nosem, kobieta wyciągnęła miszkę z kieszeni spódnicy. Wyglądała, jakby chciała napluć na każdego miedziaka, zanim przekaże go w ręce Ari. Dziewczyna w milczeniu wsunęła sakiewkę do głębokiej kieszeni spódnicy, a następnie zaczęła ponownie rozpakowywać kosze. Kiedy odsunęła kotarę, Babcia Gwynn rzekła złośliwie:

– Mam nadzieję, że twój specjał da ci wszystko, na co zasługujesz.

Albo przynajmniej nie wyrządzi mi krzywdy, pomyślała Ari, opuszczając sklep.

Odella i pozostałe dziewczęta stały razem w pobliżu. Kiedy żadna z nich nie zaszczyciła Ari spojrzeniem, ta odetchnęła z ulgą.

– Zamierzam przejść się jedną z leśnych ścieżek – powiedziała Bonnie. – Jeśli któryś z nich będzie w pobliżu, to na pewno nie na głównej drodze.

Inna dziewczyna wachlowała się koronkową chusteczką. Jej głos drżał z ekscytacji i przerażenia:

– Naprawdę uważasz, że oni przybędą na Letni Księżyc?

– Ty raczej skończysz z Eddisem lub Hestem – odparła Bonnie nieco podle.

– Byle nie z Hestem... On ma pryszczę.

– Cóż – wtrąciła Odella z cynicznym uśmiechem – wiesz, co według chłopców jest najlepszym lekarstwem na pryszczę, prawda?

Dziewczęta zachichotały.

Ustawivszy kosze na wózku, Ari oddaliła się najszybciej, jak się dało, bez sprawiania wrażenia, że stąd ucieka. Powinna była mieć baczenie na to dziwne przeczucie wiszące w powietrzu. Pani Brigston próbowała się wykręcić z płacenia za gobelin. Doświadczywszy już na własnej skórze tendencji szlachty do oszukiwania wszystkich niżej sytuowanych, Ari musiała odmówić kobiecie, gdy ta zapagnęła zabrać gobelin do domu, by „sprawdzić kolory” przed uiszczeniem zapłaty. Była też Babcia Gwynn, prosta znachorka, o umiejętnościach magicznych rozwiniętych do tego stopnia, że stanowiła zagrożenie dla każdego, kto ufał jej naparom i zaklęciom, a do tego na tyle chciwa, że handel z nią nigdy nie był uczciwy, jeśli mogła coś na tym ugrać.

Teraz więc Ari wracała do domu z gobelinem, którego nikt nie chciał kupić, kilkoma miedziakami i przemożną ochotą, by uciec, zanim stanie się coś jeszcze.

Nie uciekła jednak dostatecznie szybko.

Royce, dziedzic barona Felstona, czekał na nią poza granicą wioski, tuż za zakrętem głównej drogi.

Większość dziewcząt wzdychała do szczupłej sylwetki Royce'a i jego przystojnej twarzy okolonej złotymi lokami, ale Ari wiedziała, jaki temperament czai się za błękitem jego oczu, знаła też podłość jego duszy, której nie mogła osłodzić żadna ilość pochlebstw.

Pozdrowiła go chłodnym, uprzejmym skinieniem, licząc na to, że pozwoli jej przejść.

Royce wyszczerzył się w uśmiechu i zaczął iść obok niej.

– Słyszałem, że dostałaś specjal z okazji Letniego Księżyca. Przyjrzyjmy się mu.

Uniknęła wyciągniętej ku niej dłoni, umieszczając wózek pomiędzy nimi.

– Trzymaj się ode mnie z daleka.

Tak mocno skupiła się na obserwowaniu go, że ledwie odnotowała buzującą w niej moc – siłę ziemi i ciepło ognia.

– Dlaczego miałbym to robić? – zadrwił Royce. – Podnosiłaś już dla mnie spódnice. – Jego wzrok prześlizgnął się po jej ciele. – Byłaś lepsza niż nic, chociaż niewiele. Chłodny numer, niewarty powtórzenia. Ale pomyślałem, że może magia specjału rozgrzeje cię nieco i uczyni sprawy bardziej interesującymi.

Rozgrzeje ją? *Rozgrzeje ją?* Gdyby stała się choć trochę gorętsza, niż jest teraz, stanęłaby w płomieniach.

– Zostaw. Mnie. W spokoju – wycodziła.

– Jak pani sobie życzy – odparł Royce, składając jej kpiący ukłon. Po chwili jego twarz stężała. – Ale w noc pełni będę jechał w stronę nadbrzeżnej drogi i spodziewam się, że cię tam spotkam.

Odwrócił się w stronę wioski, a potem znów w stronę Ari, celując w nią palcem.

– A jeśli się dowiem, że podniosłaś spódnice dla jakiegokolwiek innego mężczyzny, zanim ja się tobą nacieszyłem, pożałujesz.

Odczekała na tyle długo, by upewnić się, że naprawdę odszedł. Następnie chwyciła rączkę wózka i pospieszyła drogą w przeciwną stronę.

Zanim udało się jej ująć pół mili, musiała się zatrzymać. Czowała dreszcze i gorączkę. Zdjęła krótki płaszcz.

– Tylko się nie rozchoruj – mruknęła, składając okrycie i wkładając je do jednego z koszy. – Nie... – Zamilkła gwał-

townie. Skoncentrowała się i poczuła uderzenie mocy, czekającej na to, aż ją uwolni. – Głupota – wymamrotała, odsuwając się od wózka. – Głupota, głupota, głupota. Ile razy Matka ci powtarzała, że nieświadome czerpanie mocy jest równie niebezpieczne dla wiedzymy, co dla świata, który ją otacza?

Zamknęła oczy, czując ból w sercu, jakby potarła siniak, który został na nim po śmierci matki dwie zimy temu. Wzięła kilka głębokich wdechów, by się uspokoić. Powoli, ostrożnie uziemiła swoją moc, którą bezmyślnie przyzywała, oddając ją Wielkiej Matce. Kiedy skończyła, czuła się wyczerpana i nie-samowicie spragniona, ale też spokojniejsza.

Były czasy, jak opowiadała jej babka, kiedy wiedźma mogła rozkazywać mocom ze wszystkich czterech gałęzi Matki – ziemi, powietrza, wody i ognia. Ale przez lata coś się zmieniło i siły wiedźm osłabły. Od kilku pokoleń kobiety z jej rodziny były obdarzane darem z jednej głównej gałęzi i śladową ilością mocy z drugiej. Ari była pierwszą od długiego czasu, która dysponowała niemalże równą siłą czerpaną z dwóch gałęzi Matki – ziemi i ognia.

– Ale nawet takie pokłady mocy nie są szczególnie przydatne, jeśli chodzi o zadawanie się z osobniczkami pokroju pani Brigston czy Babci Gwynn – powiedziała miękko, sięgając do kieszeni spódnicy i wyciągając pakunek ze specjalnym. Jest w tym dość magii, by nie śmiała jej zignorować. A skoro nie mogła jej zignorować, jakiego kochanka chciałaby do siebie przyciągnąć?

– Mężczyznę, który ma w sobie tak dobroć, jak i siłę – powiedziała do specjalu. – Mężczyznę, który potrafiłby mnie za-

akceptować taką, jaka jestem. Mężczyznę, który nie pochodzi z Ridgeley. Jak mówię, tak...

Potrząsnęła głową i z powrotem wcisnęła paczuszkę do kieszeni spódnicy. Babcia Gwynn może i jest prostą znachorką z wystarczającą siłą, by posługiwać się szelmowską magią, ale ona, tak jak wszystkie inne kobiety w jej rodzinie, które żyły przed nią, jest prawdziwą wiedźmą, w pełnym rozumieniu tego słowa. A wiedźma nie rzuca swych życzeń na wiatr.

Chwyciła za wózek i ruszyła do domu, zmagając się z gonitwą myśli i wspomnień.

Royce zaczął smalić do niej cholewki wkrótce po jej piętnastych urodzinach. Był pierwszym mężczyzną w Ridgeley, który traktował ją z kurtuazją, a jego słodkie słowa zwiodły ją na tyle, by uwierzyła, że jest w niej równie zakochany, jak ona w nim – aż do nocy, kiedy spotkali się na łące, a on wyblagał u niej uczynienie ich miłości fizyczną unią. Ponieważ wychowano ją w poczuciu, że intymność to dar od Matki, była chętna uczcić w ten sposób ich miłość. Nie zaznała żadnej przyjemności z szybkiego, ostrego spółkowania, które jemu zdawało się podobać. A później... Później podziękował jej drwiąco za przyniesienie mu ulgi... I za pomoc w wygraniu zakładu, w którym obstawił, że uda mu się ją osiąść w ciągu jednego cyklu księżycy od rozpoczęcia „zalo-tów”. Zawlekła się do domu, upokorzona i zrozpaczona. Jej matka i babka wykazały się zrozumieniem – i nigdy nie mówiły głośno o smutku, który czuły na myśl o tym, że jej pierwsze miłosne doświadczenia zostawiły po sobie jedynie gorzkie wspomnienia.

Ari wzięła głęboki wdech i otrząsnęła się z tych myśli. Nic dobrego nie wynikało z rozpamiętywania tego, co nastąpiło

dwa lata temu – tego, na co nie pozwoliła sobie od tamtej pory. Może właśnie to uczucie w powietrzu sprawiło, że pączkujący letni dzień był równie natarczywy jak nadchodząca zimowa zawierucha. Była w tym jakaś wiadomość; gdyby tylko mogła ją zrozumieć. Ale to ziemia i ogień były tymi gałęziami Matki, z których czerpała siłę, nie potrafiła więc wyczuć, co chcą powiedzieć gałęzie wody i powietrza.

Pomyśl o czymś innym, nakazała sobie stanowczo. Twoje myśli są twoją wolą, sprowadzasz na siebie to, czego chcesz.

Samotność sprowadziła na nią wydarzenia dzisiejszego dnia niczym lawinę. Zignoruje ją następnym razem, gdy nawiedzi ją w snach. Była samotna od śmierci matki, która odeszła kilka miesięcy po babce Astrze. Przyzwyczai się do tego, nie może pozwolić, by to uczucie nią rządziło. Nie miała wyboru – z całej rodziny została już tylko ona.

„Jesteśmy wiedźmami. Nie zaprzeczaj temu”, powiedziała jej kiedyś Astra. „Każda z nas sama musi zdecydować, czy uzna to za dar, czy za brzemię. Ale to tylko słowo, dziecko, i tylko ty możesz zdecydować, co będzie ono oznaczać. Jeśli pozwolisz, by inni określali, kim jesteś, pozwolisz odebrać sobie największą moc ze wszystkich”.

Mądre słowa silnej, mądrej kobiety. Ale nawet Astra nie mogła przewidzieć czasów, kiedy na świecie zostanie tylko jedna z nich – a w dodatku będzie to siedemnastoletnia dziewczyna, która szuka swojej tożsamości, podczas gdy cała wioska usiłuje ją zmienić i osłabić.

Zduszając w sobie chęć płaczu, Ari rozejrzała się i zauważyła jastrzębia przyglądającego się jej z pobliskiego drzewa. Poczuła,

że jej nastrój się zmienia, jak zawsze wtedy, gdy widziała jedno z dzikich dzieci Matki, i uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia. Unosząc rękę w geście pozdrowienia, zawołała:

– Niech cię dzień błogosławi, bracie jastrzębiu.

Jastrząb nie odpowiedział. Ale zauważyła, że za każdym razem, kiedy się odwraca, on na nią patrzy.

To tylko jastrząb, pomyślała, znowu czując, jak przygniata ją to dziwne coś w powietrzu. Oczywiście, że to był tylko jastrząb. Z drugiej strony mógł to być lord albo lady Fae z Tir Alainn. Mawiano, że każde z nich ma jakąś drugą formę, którą może przybierać.

Tir Alainn. Kraina Czarów. Kraina po drugiej stronie. Kraina magii – a do tego dom Fae, najpotężniejszych dzieci Matki.

Lepiej było wierzyć, że jastrząb jest tylko jastrzębiem. Pomimo tego, co Odella i inne dziewczyny myślały o romantycznej schadzce na drodze w świetle księżycy z lordem Fae, Fae nie zawsze byli mili, kiedy spotykali człowieka.

Wstrząśnięta nagłym dreszczem, Ari pospieszyła do bezpiecznego domu.

Miała dwa dni, by pojąć magię, jaką Babcia Gwynn zakłęła w specjal; dwa dni na odkrycie, czy istnieje jakiś bezpieczny sposób, by przeciwdziałać zakłęciu. Jeśli jej się nie uda, będzie musiała być posłuszna czarowi i przysięgnąć przed dwoma najpotężniejszymi Fae – Panią Księżycy i Panem Słońca.

Łowczynią... i Światłym.



ROZDZIAŁ 4

Dianna stała na jednym z tarasów, spoglądając na ogrody domu klanu. Obserwowała swego brata, aż nie zniknął jej z oczu.

– Grasuje w ogrodzie przez cały ranek – powiedziała Lyrra, sadowiąc się na niskim murku okalającym taras. – Z jego spojrzenia można wyczytać, że zły los spotka każdego, kto zaoferuje mu towarzystwo.

– Masz na myśli każdego, kto zaoferuje mu barszkwowanie – odpowiedziała defensywnie Dianna. – Lucian akceptuje zaproszenia wtedy, kiedy ma ochotę, i oddaje się przyjemnościom tam, gdzie chce. – Jej głos ociekał zniecierpliwieniem. – Poza tym mężczyźni wcale nie myślą o tym przez cały czas.

– Czyżby? – rzuciła sucho Lyrra. – Nawet w dniu, kiedy wschodzi pierwszy księżyc lata? – Prychnęła, jednoznacznie dając do zrozumienia, co sądzi na ten temat.

Dianna odwróciła się plecami do ogrodu i usiadła na murku obok Lyrry. Westchnęła. Choć mogła udawać, że nie zna przyczyny niespokojnego zachowania mężczyzn Fae, Lyrra miała rację. Postrzegali noc Letniego Księżyca podobnie jak inni mężczyźni mogli traktować stół bankietowy pełen przeróżnych potraw, których można kosztować. A dania, których smak był najbardziej znajomy, były najmniej atrakcyjne.

Co nie dotyczy mnie – ani tutaj, ani tam, pomyślała. Dzięki Gon także dziś rusza, a każdy, kto stanie nam na drodze, zrobi to na własne ryzyko.

– Czy Aiden dołączy tej nocy do podróżujących drogą przez Zaslone?

– Skąd mam wiedzieć? – odrzekła Lyrra, udając obojętność.

Och, dobrze wiesz. Dianna dostrzegła, że Lyrra patrzy na ogrody tak, jakby ich nie dostrzegała. *Wiesz o tym i rani cię fakt, jak beztrząsanie bierze sobie kolejne kochanki.*

– Jeśli nasze drogi przetną się dzisiejszej nocy, czy mam ci przywieźć jego serce? – Wypowiedziała te słowa lekko, ale pytanie było całkowicie poważne.

– Jeszcze sobie tego nie uświadomiłaś, Łowczyni? – rzuciła Lyrra z podobną lekkością. – Mężczyźni Fae nie mają serc.

Nie wiedząc, co powiedzieć, Dianna milczała, póki Lyrra nie wycofała się do domu klanu.

To nieprawda, pomyślała, opuszczając taras i przechadzając się po krętych ścieżkach w ogrodzie. Nie dokładnie. W naturze Fae nie leżało bycie... ciepłym w stosunku do siebie nawzajem. Nie w ten sposób. Fizyczne spółkowanie sprawiało przyjemność, ale w założeniu nie dotyczyło serca. Czemu miałyby dotyczyć?

A skoro nie dotyczyło, nie było powodu, dla którego mężczyźni nie mieliby korzystać z uroków kobiet ze świata ludzi. Nie wymagało to od nich wiele wysiłku, a znaczyło jeszcze mniej. Poza tym to garść kobiet z powiększonych rodzin tworzyła dany klan. Kobieta i jej potomstwo. Mężczyźni Fae mieli w zwyczaju składać długie wizyty innym klanom, by uniknąć obsiewania własnego pola. To męscy krewni kobiety, jej bra-

cia i kuzyni, pomagali jej wychować dziecko, a nie jego ojciec. Kobiety Fae rzadko uznawały ludzi za dość interesujących, by brać ich sobie za kochanków, ale jeśli mężczyzna ulżył sobie w ludzkim łożu, jakie to miało znaczenie?

Skowyt skierował jej spojrzenie w lewą stronę. Wygięła wargi w miękkim uśmiechu.

Ogary cienia były jej radością – smukłe i zabójcze, o przepięknej, szarej sierści z czarnymi pręgami. Kiedy biegły, były jak światło księżycy, jak cień w ruchu, i nie było takiej zdobyczy, na czterech czy dwóch nogach, która byłaby dość szybka czy dość sprytna, by umknąć polującym ogarom.

Suka ponownie zawyla, z wahaniem merdając ogonem.

Dianna już prawie wyciągnęła rękę, by ją pogłaskać. Wówczas trzy szczeniaki z ostatniego miotu dołączyły do matki i Dianna przypomniała sobie, dlaczego suka nie jest już jej ulubienicą, dlaczego nie może już pieścić jej ani chwalić, co niegdyś przychodziło jej z taką łatwością.

Dwójka szceniąt była idealna. Ale trzecie... Opalane łapy szpeciły piękną kompilację szarości i czerni, stale przypominając Diannie, że suka wybrała się na inne niż zwykle polowanie, gdy ona pognęła stado przez Zaslone.

Czym innym było zapłodnienie ludzkiej kobiety przez mężczyznę Fae. Bądź co bądź, kobieta otrzymywała lepszego potomka, niż kiedykolwiek mógłby jej dać ludzki mężczyzna, nawet jeśli jej dziecko urodzi się bez magicznego daru. Czym innym było zaś pozwolenie na to, by pomniejsze stworzenia mieszkwały w Tir Alainn.

Powinna była kazać zabić szczenięta w chwili, gdy zobaczyła tego mieszańca. Nie wolno pozwolić im się rozmnażać, ponieważ

wpływy ojca mogły równie dobrze dać o sobie znać w kolejnym pokoleniu, nawet u tych szczeniąt, których wygląd nie wykazywał żadnych oznak jego genów. Ale suka była tak opiekuńcza, że nie pozwalała nikomu się zbliżyć do swojego potomstwa, póki Dianna nie pojawiła się w psiarni. Zwierzę tak się cieszyło na jej widok, tak chętnie dzieliło się szczeniętami ze swoją panią... Chwaliła sukę i rozpieszczała ją, kiedy ta tego chciała, nie wydała też rozkazu, żeby zakończyć życie szczeniąt, ale od ich urodzenia nie była w stanie się zmusić do pogłaskania psa.

Teraz też się odwróciła, ignorując nieszczęsny skowyt suki.

Były czasy, gdy kobiety Fae potrafiły znaleźć na tyle pociągających ludzkich mężczyzn, by się nimi cieszyć. Były też czasy, gdy te rozkosze owocowały dzieckiem. Ale żadna kobieta Fae nie trzymałaby takiej istoty w Tir Alainn. Takie dziecko zostawiało się na progu domu ojca, żeby zrobił z nim to, co uważa za stosowne.

Teraz, gdy szczenięta zostały już odstawione od piersi, powinna zrobić z nimi to samo. Zostawić je w świecie ludzi następnym razem, gdy przejdzie przez Zaslonec.

Nie, to było nieakceptowalne. Ogary cienia należały do Fae. Jeśli ludzie dostaliby w swoje ręce choćby skundlone szczeniaki, ogary cienia nie należałyby już wyłącznie do Fae. Stałyby się... pomniejszych, zwyczajnymi stworzeniami. A to byłoby nie do pomyślenia. Co oznacza, że musiała znaleźć inny sposób, by pozbyć się bezwartościowych bękartów.

– Cienie otaczają księżyc, siostró – powiedział baryton. – Czy to twój umysł podąża mroczną ścieżką czy twoje serce?

Głos sprawił, że Dianna skoncentrowała uwagę na stojącym przed nią mężczyźnie.

– Mogłabym zapytać cię o to samo, Lucianie – odpowiedziała.

Nie mówiąc nic więcej, podsunął jej ramię. Kiedy przechadzali się razem po ogrodach, Dianna przyglądała mu się badawczo kątem oka.

Był jej bliźniakiem, przeciwieństwem, a jednocześnie drugą stroną równania. Ich matka powiedziała kiedyś, że musieli się zamienić miejscami w jej łonie. W pewien sposób było to prawdziwe. Ona, Pani Księżycyca, była tą złotą – jasne włosy i bursztynowe oczy, skóra rozświetlona pocałunkiem słońca – podczas gdy on miał czarne włosy, szare oczy i jasną karnację, której nie imало się słońce. Ale to on był Panem Słońca, Panem Ognia. Światłym.

– Zamierzasz dziś przejść przez Zaslonec? – spytała Dianna.

– Jeszcze nie podjąłem decyzji – odparł opryskliwie Lucian.

Lyrra miała rację, pomyślała Dianna. *Ten ton źle wróży każdemu, kto go zaczepi.*

– Myślę, że powinieneś. Nie wydaje mi się, żebyś był zadowolony z ostatniej wizyty złożonej innemu klanowi. Mówi się, że nie okazałeś się zbyt otwartym gościem.

Dlatego też okopała się na pozycji obronnej, kiedy Lyrra wytknęła, że Lucian unika towarzystwa. To było nietypowe dla mężczyzn Fae, by odmawiać zaproszeniu do kobiecego łoża, gdy gościli w domu klanu. W zasadzie uważano to za przejaw złych manier, gdy mężczyzna uparcie odmawiał – o ile nie był już uwikłany w jakąś relację, w której zobowiązał się do utrzymania choć odrobiny wierności. Dlatego też zawołowane narzekania ubrane w kwiecisty słowotok, które do niej docierały, zaniepokoiły ją i sprawiły, że szybko

stanęła po jego stronie – jeszcze zanim doszło do jakiegokolwiek sporu. Był jej bratem. W jej naturze leżało branie jego strony w każdej kłótni – wyłączywszy, oczywiście, kłótnie między nimi.

Niemalże odskoczyła, kiedy poczuła, jak jego temperament buzuje. Kosztowało ją dużo wysiłku, by utrzymać swoje ramię lekko splecione z jego, gdy odwrócił głowę, by na nią spojrzeć. Teraz wyraźnie widziała jego oczy.

– Ja się nie wtrącam w to, co ty robisz w łóżku, siostrze – powiedział, ledwo się kontrolując. – Co sprawia, że wydaje ci się, iż ty masz prawo wtrącać się w to, co ja robię w swoim?

Dianna przełknęła ostrożnie.

– W mojej naturze w mniejszym stopniu niż w twojej leży szukanie towarzystwa.

Wiedziała, że powiedziała nie to, co powinna, na moment przed tym, zanim się od niej odsunął.

– Lucianie...

– Jakich łask poskąpiłem, że ludzie skarżą się mojej siostrze? – prychnął. – Czego takiego, ich zdaniem, nie mogą ode mnie uzyskać szczerą prośbą, że muszą próbować zaciągnąć mnie do łóżka?

– Nie o to chodzi – zaprotestowała Dianna.

– Nie? – Lucian odszedł od niej na kilka kroków, po czym wrócił. – Kto odrzucił ich zaproszenie, Dianno? Lucian... czy Światły?

– Ty jesteś Światłym, więc jak...

– Który z nich? – zażądał odpowiedzi. – Co powiedzieli, gdy przyszli do ciebie narzekać? Że który z nich wzgardził ich powabem?

Nie odpowiedziała. Nie ośmieliła się. Nie przy jego aktualnym nastroju. Co było nie tak z kobietą, która pragnęła najsilniejszego, najlepszego kochanka i – prawdopodobnie – ojca dla swego dziecka? Kiedy się w nim zrodziło to zgorzknienie? Było zbyt głęboko zakorzenione, by mieć przyczynę wyłącznie w ostatnich odwiedzinach innego klanu. Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegła? I jak mogła kierować swoją furię na cel, który w istocie wcale nim nie był?

– Zwyczaj nakazuje, by obdarzać łaskami w zamian za przyjemność w łóżu – powiedziała ostrożnie. – Tak to już u nas jest.

– A jeśli cena nie jest już warta przyjemności? – odparł miękko, choć jego twarz stężała. – Nie będę tańczyć, jak mi zagrają. Możesz przekazać tę wiadomość klanom.

Tym razem naprawdę oszedł.

Dianna nie ruszyła za nim. Nie miała żadnego argumentu, który mógłby złagodzić jego nastrój. A jeśli miała być szczerą, nie zastanawiała się wcześniej nad rozróżnieniem, którego dokonał. Teraz, gdy wróciła pamięcią do wiadomości, które jej przekazano, zaczęła rozważać, czy nie miał racji. Czy kobiety z innego klanu były rozczarowane tym, że nie doznały uciech od Luciana, jako kochanka, czy może tym, że nie mogły zażądać przysługi od Światłego, który zarządzał wszystkim i wszystkimi w Tir Alainn, wyłączwszy Panią Księżycza?

Ruszyła z powrotem w kierunku domu klanu, spragniona odosobnienia własnych komnat. Miała nadzieję, że Lucian jednak wybierze się dziś za Zasłonę, ale też współczuła komuś – lub czemuś – kto stanie mu na drodze.

Usłyszawszy harfę Aidena, Lucian skręcił w przeciwnym kierunku. Nie miał ochoty na rozmowę z kimkolwiek, a z pewnością nie był też zainteresowany wysłuchiowaniem upstrzonych docinkami przemów Barda. Ruszył więc w stronę jednego miejsca w ogrodzie, którego unikał przez cały ranek.

Zawahał się przez moment, a potem zszedł schodami pod kamiennym łukiem. Dookoła niego wznosiły się kamienie. Nad jego głową drzewa tworzyły baldachim, przez który przebijały jedynie cętki promieni słonecznych. Wciąż mógł dosłyszeć harfę Aidena, ale teraz jej dźwięk mieszał się z szelestem liści, pieśnią natury oferującą komfort.

Podobnie jak to miejsce, pomyślał, idąc ścieżką i przesuając palcami po kamieniu. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego to miejsce tak się różni od reszty zakątków w ogrodzie, ale tutaj cisza była bogatsza, zakorzeniona w pokoju, który był w stanie wydenować serce ze wszelkich smutków. Może jego złość nie była w porządku. Kilka dróg wiodących z Tir Alainn do Sylwalanu zamknęło się, a z wielu spośród tych, które wciąż pozostawały otwarte, trudniej było korzystać. Fae nie byli w stanie powstrzymać dróg przed zamykaniem się, nie potrafili też tworzyć nowych przejść. Byli najpotężniejszymi dziećmi Matki, ale ta cząstka magii nie była im znana. Nawet podróżowanie między terytoriami klanów stawało się coraz trudniejsze. Były one wyspami łądów, połączonymi ze sobą mostami ciągnącymi się nad mgłą. Czasami, nawet gdy droga się nie zamykała, mgła pochłaniała most, niszcząc połączenie między dwoma klanami.

Mógł więc zrozumieć, dlaczego kobiety z klanów chętnie wykorzystwałyby każdego mężczyznę, który nie był ich krewnym, póki wciąż miały do niego dostęp. Ale ogień był zbyt moc-

no zakorzeniony w jego naturze i nie podobało mu się wyrachowanie wkradające się do alkowy. W ciągu ostatnich dwóch lat, odkąd został Światłym, blask w oczach kobiet Fae, które zapraszały go do swoich łóżek, częściej wydawał się wynikiem kalkulacji niż lubieżności – przebiegłości niż pożądania.

Może to oziębłość zakradła się ostatnio do jego łóża. A może zwyczajna nuda. Wiedział, czego się spodziewać, wiedział, co się daje, a co bierze, znał to wszystko na tyle dobrze, że wartość zaczęła maleć wraz z czasem. Jedyne, czego nie wiedział, to dlaczego tak się czuje.

Miał dwadzieścia cztery lata. To zdecydowanie za mało, by się znudzić seksem. Może to liczba kobiet, które zapewniły mu przyjemność podczas pierwszego roku bycia Panem Słońca, była przyczyną jego słabnącego zainteresowania. A może jego temperament zapadł w drzemkę jak zimowe słońce i jeszcze się nie przebudził. Czuł narastanie i zanikanie sił bardziej niż wtedy, gdy był tylko kolejnym młodym Panem Ognia.

Narastanie i zanikanie. Niczym słońce na przestrzeni pór roku. Niczym księżyc w swoim cyklu. Niczym Fae, którzy byli zwierzchnikami poszczególnych darów.

Wydawało się, że co drugi klan ma Pana Ognia, ale tylko jeden mógł czuć nabrzmiewającą moc w Przeddzień Żniw, stojąc przed mężczyzną, do którego należał już ten tytuł. Tylko jeden mógł przyćmić słabnącą moc starego Pana i stać się tym Panem Ognia, Panem Słońca, Światłym. I choć wyzwanie nie odbywało się co roku, młodzi Panowie Ognia wciąż zbierali się podczas tej nocy, niezależnie od tego, czy Światły decydował się porównać swoją moc z ich mocą. A niekiedy niecierpliw

głupiec próbował wyrwać tytuł temu, do kogo obecnie należał, zanim moc Pana wystarczająco osłabła. Głupiec mógł się wówczas przekonać, że porażka bywa brutalna – albo nawet śmiertelna. Ale gdy pora – jak i konkurent – była odpowiednia, wyzwanie stanowiło zaledwie formalność, rytuał, który pozwalał staremu ukorzyć się przed nowym.

Tak było w przypadku wszystkich Fae. Nie spotykali się w tym samym miejscu czy czasie, ale w przypadku każdego magicznego daru, którym mógł władać Fae, jeden z nich zawsze przewodził pozostałym, którzy dzielili dany dar. A wszyscy ci, którzy przewodzą innym, podlegali Panu Słońca i Pani Księżycy. Nie było więc nic dziwnego w tym, że Fae lgnęli do niego częściej niż kiedykolwiek wcześniej, ale zaskoczyło go, jak silnie jednocześnie odczuwał samotność.

Potrząsnął głową. Znowu dał się ponieść myślom. A jeśliby wrócił do domu klanu, nie otrząsnąwszy się z tego nastroju, Aiden pociągnąłby kwestię rządzących, co kłółoby i żądliło jego ego. Ostry umysł i jeszcze ostrzejszy język Barda nie prosiły o łaskę i rzadko jej udzielały, nawet tym, z którymi łączyło ich pokrewieństwo.

Poza tym były lepsze tematy do rozmyślań.

Aiden i Lyrra wysłali potajemnie wiadomości do Bardów i bazarzy wśród Fae. Nikt z bazarzy nie słyszał o wiccanfae, a jedyne pieśni o wiedźmach, które wysłano do Aidena, były tymi, które już słyszał. Jeżeli bazarze i Bardowie nie wiedzieli niemalże nic o swoim potencjalnym wrogu, to pozostali Fae z pewnością tym bardziej nie słyszeli o wiccanfae.

Na łaskę Matki! Jak mogliby chronić Tir Alainn, kiedy nie wiedzieli nawet, skąd się wzięły te stworzenia? Czy przyszły

zza gór, które stanowiły wschodnią granicę Arktosu i Wolframu? Czy to dlatego klany, których terytoria łączyły się ze Starymi Miejskami w tych ludzkich krajach, zniknęły jako pierwsze? Czy to może być tak proste, a zarazem brzydkie rozwiązanie, jak walka o ziemię? Czy wiedźmy mogły zniszczyć drogi wiodące przez Zaslone, by zagarnąć Stare Miejsca dla siebie?

Pytania wewnątrz pytań, ale ani on, ani Aiden, ani Lyrra, ani Dianna nie mieli żadnych odpowiedzi. Jedyni Bardowie, którzy słyszeli pieśni o wiedźmach, podróżowali przez wschodnie części Sylwalanu. Podróżujący przez środkową część krainy nie słyszeli o niczym takim, z kolei ci z zachodnich klanów... Oni w ogóle nie mieli za wiele do czynienia z pozostałymi Fae. Trzeba ich było zapraszać na wyzwania, chociaż – na całe szczęście – zazwyczaj nikt z nich się na nich nie zjawiał. A kiedy jednak przybywali... Wstydem było uznawać ich za Fae. Cechowało ich takie nieokrzesanie, że żadne fasadowe manery nie były w stanie tego zatuszować. Przebywanie wśród nich było dla pozostałych co najmniej niekomfortowe.

Potrząsając głową, Lucian opuścił swój prywatny zakątek w ogrodach. Dopóki nie zdobyli odpowiedzi, nie mógł nic zrobić. Wybierze się drogą przez Zaslone dziś w nocy, ale nie z tego powodu, który miała na myśli Dianna. Obierze długi, trudny szlak w świetle pełni księżyca i będzie czerpał rozkosz dzięki zupełnie innej kochance. Wielkiej Matce. Ziemi w świecie ludzi. W przeciwieństwie do innych znanych mu kobiet ona wciąż pozostawała intrygująca.